

Janusz Sławiński

Za co powinniśmy kochać Jana Błońskiego?

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (46), 1-9

1979

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Komitet
Nauk
o
Literaturze Polskiej
i
Instytut
Badań
Literackich PAN
dwumiesięcznik 4 (46), 1979**

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY • KRYTYKA • INTERPRETACJA

Za co powinniśmy kochać Jana Błońskiego?

Moje pierwsze wrażenie po lekturze «Odmarszu»: ta książka jest przesłaniem z innego świata. Poprzez wrzawę i szum tego, co męczy, nuży i drażni jako beznadziejnie swoje i powszednie, przebił się oto głos całkiem niepodobny do głosów tutejszych, nadany wyraźnie skądinąd. Poruszyło mnie to pierwsze wrażenie, ponieważ przeczyła mu wiedza, jaką miałem o przeczytanych tekstach. Powstawały wszak tuż obok — wśród okoliczności i realiów składających się na codzienność życia literackiego, wspólnie przez nas doświadczanego. Niektóre znałem bardzo dobrze, jako że były wpierw drukowane w pisemku, które razem z Autorem redagujemy. Wiedziałem, z jakich zamówień wyrastały, co je inspirowało, kogo zapytywały i komu odpowiadały. A jednak w książkowym złożeniu przesunęły mi się jakby w inną rzeczywistość — okazywały się nie z tego świata. Drażąc to początkowe odczucie, próbowałem je sobie najpierw tłumaczyć tym, że na całym zbiorze zaciążyła «przeszłościowa» problematyka jego pierwszej części — fragmentów z wcześniejszej o osiemnaście lat «Zmiany warty». Zwłaszcza, że druga część — «Głosy» do tamtej książki — przedłuża i wzmacnia, niczym echo, wygłos owej już w magazynach dziejów literatury zdeponowanej problematyki. Czyż nie jest bowiem tak, że sprawy pokolenia «Współczesności» zdążyły nam zubożeć? Że stały się «przedmiotem badań», w któ-

ry nie sposób angażować się ideowo czy emocjonalnie komuś, kto zainteresowany przede wszystkim żywym brzmieniem dzisiejszości? Może więc właśnie uplątanie Błońskiego w sytuację już historycznoliterackie sprawiło, że jego głos — jako krytyka — dochodzi do nas z oddali, naznaczony piętnem czasu minionego — i dlatego nietutejszy?

Ale tak kombinując, niewiele sobie wyjaśniłem. Bo przecież książka Błońskiego traktuje nie tylko o losach generacji «Współczesności». Co więcej: zdaje się podprowadzać do myśli, że w latach siedemdziesiątych dokonuje się istotne — choć trudne jeszcze do bliższego określenia — przesunięcie dominant w świadomości literackiej, zapowiadające nową zmianę warty i spychające w cień konsekwencje poprzedniej. Nie, stanowczo nie tematyka książki zdecydowała o moim wrażeniu! Trudno przecież nie zauważyć, że w jej najbardziej nawet przeszłościowych złożach mieszczą się spostrzeżenia, diagnozy i przewidywania zastanawiająco na czasie. Problematyzacja «pokolenia 56» zbudowana ongiś przez Błońskiego przerosła bowiem najwyraźniej materiał historyczny, którego wprost dotyczyła. Powstawała jako próba objaśnienia tego, co przydarzyło się młodej literaturze w układzie okoliczności — zdawało się — osobliwym i jednorazowym; teraz okazuje się, że przynosiła rozpoznanie sytuacji modelowej i ponawiającej się cyklicznie. Dzisiejsza (ta nadchodząca, czy może już nadeszła?) zmiana warty też zapewne wpisze się w ową sytuację — nawet jeśli nie całkiem i nie ściśle, to przecież w takiej mierze, w jakiej uporczywa niezmiennosc pozostaje cechą kontekstu społeczno-kulturalnego, stawiającego literaturę wobec konieczności samookreślenia.

Jeśli więc nie odniesienia tematyczne czynią z książki Błońskiego utwór nietutejszy, to co mianowicie? Najbardziej po prostu: przyjęty w niej sposób mówienia znajduje się poza repertuarem form i trybów wypowiedzi uznawanych za warte praktykowania w tutejszym życiu literackim. Nie jest przewidziany w scenariuszach komunikacji i wzorach mowy publicznej, określających decorum w sferze opiniodawstwa (literackiego...). Na tle obowiązujących tu norm teksty Błońskiego wydają się dziwnie nie dopasowane, pisane przez kogoś, kto nie jest obeznany z regułami gry, do której przystępuje, lub — co gorsza — zna je, ale z premedytacją lekceważy. W świetle tych reguł zwraca przede wszystkim uwagę skandaliczna nieokreśloność miejsca, z jakiego przemawia. W czym imieniu się

wypowiada: instytucji, stowarzyszenia, nauki, czasopisma, mecena-
sa? Jaka instancja jest gwarantem celowości i słuszności jego wy-
stąpienia? Otóż rzecz w tym, że nie wypowiada się w niczym imie-
niu i nic — poza tym, co ma do powiedzenia — nie gwarantuje
jego autorytetu. Działa — jako krytyk — na własne ryzyko i z ni-
kim nie pragnie dzielić odpowiedzialności. Krytyka jest w jego
pojęciu samowolnym opiniodawstwem, które nie potrzebuje po-
parć, przyzwoleń ani instytucjonalnych zabezpieczeń. A właśnie
od takiej krytyki zdaliśmy już całkiem odwyknąć. Komu — i na
co — może się przydać? Cóż miałby teraz do roboty taki Irzykow-
ski? Krytyk dziś musi działać «służbowo». Jest ekspertem z nomi-
nacji i nie powinien ani na chwilę zapominać, że reprezentuje w
swoich orzeczeniach ciało, któremu nominację zawdzięcza: uniwer-
sytet, instytut, redakcję, telewizję, komisję do spraw istotnych,
problem węzłowy, szkolnictwo. Nie zawsze ma oparcie tak solid-
ne; czasem musi się zadowalać przynależnością o mniejszym zna-
czeniu: przystępuje na przykład do strukturalistów, zaciąga się w
szeregi twórców młodego pokolenia (po czterdziestce) lub wchodzi
do klubu intelektualistów regionalnych. Fakt jego przynależenia
do tego czy innego ciała poprzedza jakby na skali ważności —
wszelkie interpretacje, diagnozy i oceny, które uda mu się sformu-
łować. Jest w ogóle warunkiem koniecznym tego, by były —
jako takie właśnie — brane poważnie pod uwagę. Słowem: rola
krytyka jest dziś pochodną jakiejś roli bardziej podstawowej, zwią-
zanej z umiejscowieniem obdarzonego tą nazwą osobnika w «for-
malnym» porządku życia społecznego. Do uprawiania krytyki u p o-
w a ż n i a go to, że jest profesorem, komentatorem telewizyjnym
czy współpracownikiem pisma. Przemawia do publiczności jako
dyplomowany funkcjonariusz jakiejś firmy — i to ma znaczenie
podstawowe, a nie to, czy wypowiada poglądy istotne, czy banaty
lub głupstwa. Z literaturą kontaktuje się nie wprost, a poprzez sy-
stem wartości owej firmy, poprzez właściwą jej taksonomię i re-
torykę. Idealem byłoby, gdyby potrafił przy okazji wyzbyć się
swej podmiotowości i utożsamić w pełni z miejscem, które dlań
przewidziano. W takim rodzaju komunikacji literackiej najbardziej
pożądaną cechą krytyka okazuje się jego wymiennosc: na tym sa-
mym miejscu Iksa może zastąpić z powodzeniem Igrak lub Zet,
jeśli tylko odpowiadają ustalonym parametrom roli i sytuacji.
Kłopot z tym jednak, ponieważ indywidualność podmiotu krytycz-

nego dopomina się o swoje prawa nawet w warunkach, które ją całkowicie — zda się — wykluczają. Daje o sobie znać w rozmaitych gestach, nieraz cudacznych, ale dopuszczalnych: krytyk uniwersytecki zaczyna folgować skłonnościom błazeńskim, zasłużony organizator życia literackiego wykazuje nagle zainteresowanie głębokimi «sprawami ludzkimi», autorytatywny komentator pozwala sobie ni stąd, ni zowąd na łzawy sentymentalizm, a wypróbowany strażnik kodeksu na wieloznaczne aluzje. Każdy wyróżnia się, jak potrafi. Jeden włoży pepegi do fraka, drugi krakuską dopełni urzędniczy garniturek, a jeszcze inny pasem słuckim ściśnie płaszcz ortalionowy. Tylko, że indywidualizujące dewiacje dziwnie szybko okazują się elementami wyposażenia standardowego: powstaje bowiem cała konwencja osobistych ubarwień, nadbudowująca się nad kanonicznymi formami dyskursu krytycznego. Właśnie konwencja, gdyż i błaznujący, i rozstrząsacz «spraw ludzkich», i uczuciowiec, i pomrugiwacz — wszyscy oni znają dobrze regulaminowe ramy swoich poczynań. Wiedzą, że wygłup, moralistyczne zatroskanie czy podteksty muszą mieścić się w granicach przyzwoitości, tzn. nie mogą przesłaniać podstawowej roli krytyka jako reprezentanta ponadosobistego autorytetu. Czujnie więc kontrolują własną gestykulację, by nie przekroczyła miary.

I oto na tle tego rytuału komunikacyjnego pojawia się Błoński ze swoją książką, zabiera głos bez upoważnienia, nie poczuwając się do wierności żadnej firmie, choć skądinąd badacz, pedagog i redaktor. Cóż więc dziwnego, że głos ten brzmi obco, wręcz egzotycznie? Błoński jest jednym z ostatnich u nas przedstawicieli wymierającego (duchowo) gatunku — krytycznoliterackiej inicjatywy prywatnej. Rzadkie te stwory nie podlegają ustawie o ochronie środowiska, toteż wyginą niezawodnie; mało kto już teraz pamięta, jak wyglądają i jaką funkcję miały do spełnienia w niszy ekologicznej, w której się wszyscy kotłujemy.

Podajrzewam, że Błoński w chwilach depresji wywołanej świadomością wyroku, jaki historia wydała na jego gatunek, może odczuwać pokusę przesunięcia się bliżej nowego porządku, schronienia się pod parasolem jakiejś uspołecznionej firmy, która — na pewien czas — ułatwi mu fortunne prosperowanie. I chyba odczuwa, o czym wnioskuje z uporczywie ostatnio powracających w jego wypowiedziach prób samookreślenia, zdefiniowania siebie jako krytyka, znalezienia stosownej etykiety. Jest wyraźnie zlakniony

zaklasyfikowania, pragnie jakoś nazwać swoje *genus proximum*, jakby nie wystarczało mu imię własne. Jestem personalistą i duchologicznym hermeneutą, oto orientacja, którą reprezentuję — powtarza teraz w kółko, jeszcze półzartobliwie, i oby nie przeszło to w natręctwo. Chciałby nas — i siebie? — przekonać, że nie jest człowiekiem znikąd, że należy do jakiejś szkoły, która używa znaczenia jego działaniom.

Ale też — z drugiej strony nikt zapewne lepiej od Błońskiego nie uprzytamnia sobie złowrogiego charakteru pokusy. Skutecznie z nią walczy, a ja pragnąłbym z jak najbardziej przyjazną stanowczością popierać go w tym podniebnym bojowaniu. Bo istotnie ulec pokusie bycia zaszeregowanym byłoby dla krytyka z inicjatywy prywatnej niewymuszonym wyparciem się własnego gatunku, a więc czynem likwidacji siebie dotychczasowego. I to niezależnie od tego, jaki rodzaj przynależności chciałby wybrać. Jeden przystąpi do semiotyków, drugi do duchologów. Samo-określając się poprzez przynależność — jakkolwiek — ograniczasz zarazem rejon, gdzie powinieneś odtąd przebywać: tam będą ciebie szukać, a przypadkiem nie znalazłszy mają prawo do uzasadnionych pretensji. Ponadto jesteś zobowiązany dzielić nie tylko upodobania, ale i fobie współmieszkańców wybranego terytorium. W szczególności zaś ich przeświadczenia dotyczące mieszkańców innych terytoriów. Jako materialista musisz za niewydarzeńców uważać spirytualistów (wszelkiej maści), jako systematyk będziesz gardził dialektykami, jako hermeneuta jesteś zobowiązany ciągle mieć coś za złe strukturalistom. Inaczej być nie może: twoim zadaniem będzie odcinać się, budować opozycje, lekceważyć przeciwników lub ich znieważać.

Postępowanie Błońskiego świadczy o skłonności do strategii zgoła odmiennej. Zobowiązania wynikające z przynależności pozostawia on tym, co wciągnięci w instytucjonalne tryby życia literackiego lub literaturoznawstwa — kierunków, estetyk, specjalności, orientacji metodologicznych, terminologii — muszą pilnie baczyć, czy poruszają się w wyznaczonym sobie obszarze. Sam podobnych zobowiązań nie podejmował — przemieszcza się więc swobodnie po otwartej przestrzeni, dostrzegając wprawdzie przecinające ją granice, ale nie odnosząc ich do siebie. Wędruje na przelaj przez najrozmaitsze krainy: literatury i stylów myślenia o literaturze. Zatrzyma się to tu, to tam, rozejrzy się po okolicy, pokosztuje

miejscowych specjałów, poduczy się języka tubylczego — i ruszy w dalszą drogę. Wszędzie, gdzie się znajdzie, pragnąłby się czegoś dowiedzieć, uzyskać podniety do rozmyślań, doświadczyć odmienności, zmierzyć się z nowym sposobem widzenia świata. Jest ciekawy wszystkiego, ale też nawykowo — można rzec — nieufny; jeśli obdarza coś zainteresowaniem, to nieodmiennie warunkowym. Zetknięcie się z dotąd nieznanym, zawsze pożądane, nie wprawia go w euforię ani oszołomienie: najpierw chce to zrozumieć a potem zdecyduje, na co może mu się przydać. Podejrzliwie zwłaszcza odnosi się do wszelkich koncepcji systemowych lub systemopodobnych. Spontanicznie opowie się za tym, co w systemie napotkanym jest dewiacją, zakłóceniem symetrii, sferą wstydliwie ukrywanego bałaganu — niższością w rozumieniu Gombrowiczowskim. Doktryny (niezależnie, czy to będzie strukturalizm, czy psychologia głębi, czy program neoklasycyzmu) jawią mu się jako obszary zniszczonych lub zapomnianych problemów; toteż treści zdoktrynalizowane rad by oswobodzić z uwięzienia, przywrócić im status żywych zagadnień, niepewnych domysłów, pytań nie zagłuszonych jeszcze jednoznaczными odpowiedziami. Dopiero sprawdzone do takiego stanu — uzna za pokarm właściwy dla swego organizmu. Ależ to smakowite danko! — oświadczy łakomie i pożre je z chrzęstem i mlaskiem.

Wszystko to się w nim jakoś nawarstwia i układa, ale nie zgęszcza się w żadną doktrynę własną. Tak jak nie darzy zaufaniem systemów zwiedzanych, tak też wcale nie ma ochoty budować swojego. Przynajmniej jak dotąd. Nie byłbym wcale zachwycony, gdyby nagle postanowił uzgodnić w pełni siebie z sobą i w tym celu zbudował zgrabną teoryjkę, aby w niej na stałe zamieszkać. Jest przeźliwie zdolny — i gdyby się uparł, potrafiłby z pewnością wznościć piękne klasyfikacje, rozwinięte programy literackie, spójne systemy pouczeń i kryteriów wartości. Nie byłyby to jednak jego genre; tak czyniąc, działałby przeciwko swemu losowi, a to na ogół nie wychodzi nikomu na dobre. Straciłby to, co stanowi jego autentyczną siłę, a zyskałby rychło status emerytowanego wędrowca. Siłą Błońskiego nie jest bowiem wola przetwarzania odbieranych impulsów w usystematyzowaną metodykę interpretacji, estetykę czy aksjologię, lecz wciąż aktualizowana zdolność reagowania na to, co życie (literatury) przynosi, nawiązywania dialogowej styczności z coraz to innymi zjawiskami, ustawicznego rozszerzania skali wrażeń

liwości. Zdobyte doświadczenia nie pętają go, gdy w polu widzenia pojawi się możliwość nowych doświadczeń. Stając wobec takiej szansy, nie zapomina przecież uprzednich lekcji; ale potrzebne są mu po to jedynie, by móc przeciwstawić się agresywnej demagogii tego, co ostatnie, a więc najkrzykliwsze, nie zaś po to, by skutecznie rozbroić nieznaną przy pomocy znanego. Istotnym jego celem jest bowiem za każdym razem znaleźć się w możliwie najbliższym sąsiedztwie nowego partnera: wzbogacić się rozumieniem jego osobliwości. Przy tym rozumienie nie musi bynajmniej implikować akceptacji; może być przesłanką wątpliwości, sporu lub odrzucenia. Słowem: Błoński należy do rodziny krytyków sytuacjinych. Takich więc, którzy w swoich kontaktach z literaturą nie wychodzą z ideologicznego, estetycznego czy metodologicznego a priori, wyznaczającego stałą ramę dla rozpoznai i wartościowań, lecz dopracowują się punktów widzenia, narzędzi poznawczych i kryteriów oceny dopiero w konfrontacjach z tym, co z góry nieprzewidywalne: z dokonaniem pisarskim, osobowością twórcy, cudzym programem lub opinią. Bardziej ich absorbuje wielokształtność i wielogłosowość stającej się świadomości literackiej i literatury niż utopia — jakkolwiek byłaby motywowana — ładu, unormowania i konsekwencji, jakie należałoby zaprowadzić, aby świat pisarstwa rozwijał się bardziej pomyślnie. Największym w tej rodzinie był u nas Irzykowski; do tego wzorca zbliżał się Wyka w swoich lepszych okresach. Teraz Błoński. Jak u wszystkich z rodziny potrzebą naczelną jest dla niego potrzeba spotkań. Pierwszą w hierarchii przed innymi potrzebami, ponieważ fakt spotkania warunkuje w ogóle całą jego aktywność krytycznoliteracką: chęć zadawania pytań (także sobie samemu), analizowania, dociekania, konceptualizowania i kategoryzowania. A także, po prostu, inwencję pisarską. Wszystko, co przeczytał, zinterpretował, przeżył, wie, potrafi — przekształca się w nim w stan oczekiwania i gotowości na spotkanie z czymś jeszcze nie zaznanym (choć może przeczuwanym), na znalezienie się w sytuacji o trudnej do przewidzenia dramaturgii, takiej wszakże, która umożliwi mu — raz jeszcze — potwierdzenie siebie jako krytyka odradzającego się poprzez dialog. Nie oznacza to przecież, że jest bratem-łata, który czeka przy drodze na okazję, by do kogoś nieobowiązująco zagadać. Gdy włącza się w sytuację, bywa to wysoce obligujące dla partnerów. Przebywając w jego towarzystwie wcale nie odczuwasz

beztroskiego rozluźnienia. Na pozór jest dobrotliwy i nie wymagający; w rzeczywistości jego obecność zmusza cię do nieustannego skupienia i wysiłku samokontroli. Łagodność i wyrozumiałość łączy z przenikliwością i bezwzględnym wyrachowaniem. Wystarczy spojrzeć na oblicze naszego bohatera. Wydawałoby się: prawdziwy bobas-sarmata z dobrej rodziny, miłośnik naleśników, konfitur i bananów, skłonny do teatralnej jowialności, która ma rozbroić ewentualnych agresorów; ale oko w tym obliczu jakieś niezmiernie wyraziste — ostre, odgadujące, ironiczne i przebiegłe. Czujesz, że jesteś ustawicznie sprawdzany; musisz dociągać do poziomu, jaki ci wyznaczył, nie wolno ci być banalnym, twoim obowiązkiem jest zachować się interesująco. W jego towarzystwie dotkliwie doświadczają się wielorakich niebezpieczeństw, na jakie wystawiają swoich rozmowców ludzie ponad miarę inteligentni. Toteż kiedy Błoński wychodzi komuś na spotkanie, nie należy sądzić, że występuje z inicjatywą beztroskiej pogawędki. Pragnie on nie tylko rozumieć, ale też wtrącić się w motywacje cudzych myśli i działań, sprawdzić przesłanki, pokazać nieprzewidziane konsekwencje, odwrócić eksperymentalnie coś, co jest traktowane jako prawda, przestawić akcenty, rozwiać złudzenia, podać w wątpliwość komunały... Nie uważa, by z rozumienia warto było zawsze wyprowadzać porozumienie; czasem słuszniejsze bywa rozjątrzenie nieporozumień. Swoim udziałem wyostrza sprzeczności i pomnaża wieloznaczności właściwe «czynom kulturalnym», dramatyzuje sytuacje, w jakich się pojawiają.

Działalność krytyczna tego rodzaju podlega jednemu tylko, ale za to nie dającemu się wyeliminować, uwarunkowaniu z e w n ę t r z n e m u. Wymaga mianowicie dla swego istnienia — jak ryba wody — odpowiednio bogatego i zróżnicowanego kontekstu życia literackiego (i szerzej: umysłowego). Egzystować może o tyle, o ile znajduje właściwe — a więc urozmaicone — zasilenia. Potrzebny jej ruch idei, swobodne krążenie opinii, światopoglądów i estetyk — konkurujących, zderzających się z sobą, wchodzących w nieoczekiwane związki, sojusze i konflikty. Rozkwita tym bardziej, im więcej ma możliwości konfrontacji, im silniej odczuwa stymulującą obecność przeciwników i współzawodników. Jej produktywność maleje proporcjonalnie do wzrostu tendencji unifikujących i stagnacyjnych na agorze życia intelektualnego. W otoczeniu zdomi-

nowanym przez marazmatyków ktoś taki jak Błoński musi w końcu oklapnąć lub oddać się bez reszty Trudom Badawczym. Krytyka, jaką pragnąłby uprawiać, jest dziś niestety zjawiskiem przeżytkowym, mimo że cel społeczny, który jej ostatecznie przyświeca, nie stracił bynajmniej na znaczeniu. Zmierza ona bowiem uparcie do poszerzania sfery wolności czytelników. Swoimi dialogowymi interwencjami uobecnia im, że nie są wcale skazani ani na onieśmielenie, ani na wynikające z nierozumienia obojętność lub frustrację wobec zjawisk twórczości. Uświadamia im, że dzieła nie są czymś nietykalnym, że mogą być odczytywane na różne sposoby i rozmaicie oświetlane; skłania do podejrzliwości wobec schematycznych skojarzeń i klasyfikacji, do zajmowania postawy krytycznej względem uświęconych wartości i wzorów; uczy, że dobrze jest zachowywać luźny stosunek do hierarchii i autorytetów — w rezultacie więc sprzyja rozbudzeniu ducha samodzielności wśród czytających i rozrostowi obszaru ich swobodnych wyborów i decyzji. Otóż Błońskiego powinniśmy kochać za to, że mógłby być Irzykowskim naszych dni...

Janusz Sławiński